

TA, KTÓRA WIE...



KATARZYNA KUŚMIERCZYK

TA, KTÓRA
WIE...

JEGLINISZKI, STYCZEŃ 2024

© Copyright by Katarzyna Kuśmierczyk

Grafika na okładce:

Namasza – Małgorzata Kuśmierczyk

Wydawnictwo:

KDSystem

wydawnictwo@kdsystem.com.pl

Korekta:

Janusz Sigismund

Skład i przygotowanie do druku:

Adrian Szatkowski

Druk i oprawa:

Sowa sp. z o.o.

ul. Raszyńska 13, 05-500 Piaseczno

www.sowadruk.pl

ISBN 978-83-948872-7-8

Wszystkie wydarzenia i osoby opisane
na kartach powieści są fikcyjne.

*Najważniejszym kobietom mojego życia,
moim Córkom: Marcie i Małgorzacie*



WSTĘP

W opowieści, którą przeczytacie na kartach tej książki zawarto fakty historyczne, bowiem 21 sierpnia roku pańskiego 1811, po trwającym trzy lata procesie, na Wzgórzu Szubienicznym w Reszlu, spalono ostatnią czarownicę w Europie – Barbarę Zdunk.

Jednak historia tu opowiedziana nie ma nic wspólnego z prawdziwym wiekiem, osądem czy rzeczywistymi oskarżeniami, jakie zostały wysunięte pod adresem Barbary, której zarzucano podpalenie miasta.

Wykorzystałam jedynie osnowę tamtych wydarzeń, tworząc tło dla zupełnie fikcyjnego opowiadania.



PROLOG

21 sierpnia...

Jej serce tłukło się jak oszalone, niczym ptak złapany w sidła. Z ogromną siłą pompowało krew, która krążyła szybciej i szybciej, powodując szum w uszach i klucie w piersiach. Dyszała ciężko, jak po prędkim biegu, a treść żołądka podchodziła jej do gardła.

Chciała krzyknąć, ale czuła tylko palący ból, a słowa więzły jej w ustach. Chciała płakać, ale wyplakała już wszystkie łzy, a suche oczy piekły, jakby ktoś sypnął w nie garść piachu. Chciała się modlić, ale nie potrafiła odszukać słów pacierza...

Patrzyła na misternie ułożone gałęzie, na drzewce sterczące pośrodku i rozgorączkowaną tłuszczę. Chciała uciec, ale związane nogi ledwie pozwalały na złapanie równowagi.

Spojrzała dalej, aż za linię nienawistnych spojrzeń. Jak to możliwe, że gdzieś tam, był teraz normalny świat? Słońce na horyzoncie świeciło jak zawsze, ludzie szli do roboty, rodziły się dzieci i śpiewały ptaki...

Przecież czas powinien się zatrzymać, ziemia zatrzęść w posadach, niebo rozstąpić się, a Bóg ukarać winnych! Jak na komendę firmament przecięła błyskawica. Motłoch zamilkł zdziwiony, kierując wzrok pod niebiosa, żeby po chwili rozkrzyknąć się i wiwatować ze zdwojoną siłą.

Nagle poczuła, jak ktoś chwycił ją za ramiona. Próbowwała się wyrwać, ale nie miała szans ze swoim oprawcą. Silne ręce trzymały ją mocno.

Katarzyna Kuśmierczyk

*Ostatnie, co usłyszała, to cichy trzask, któremu towarzyszył ból
przeszywający całe ciało. A potem zgasło światło, ucichły krzyki,
ucichły ptaki... I nie było już nic...*

I.

– Reszel?! Dlaczego Reszel? Mało jest innych, cywilizowanych miejsc w Polsce? – wyrzucała z siebie wściekła Michalina. – Dlaczego zawsze mi się to przytrafia? Uciekłam z tego cholernego zadupia tylko po to, żeby trafić do kolejnej czarnej d... dziury. – Ledwie powstrzymywała się, żeby nie wybuchnąć płaczem.

– Może nie będzie tak źle? – Bez przekonania uspokajała ją Iga. – Odpoczniesz sobie trochę, a na prowincji...

– Odpocznę?! – przerwała jej bezceremonialnie przyjaciółka. – Ja nie chcę odpoczywać! No i właśnie na prowincji! – W jej głosie zabrzmiała pogarda. – Nie po to z tej prowincji uciekłam, żeby teraz do niej wracać! Czuję, że to sprawka docenta Śliwki. Zemścił się na mnie za stwierdzenie, że przynudza na wykładach. Ale skąd miałam wiedzieć, że akurat wtedy wszedł do pubu? Zawsze mam pecha! – Dramatyzowała.

Iga była zupełnie bezradna. Wiedziała, że nic Miśki nie przekona. Kiedy wbije sobie coś do głowy, to jak „amen w pacierzu”, kropka i dwa wykrzykniki. Teraz patrzyła na koleżankę z lekkim współczuciem, chociaż nie do końca rozumiejąc, z czego robi taką tragedię. Przecież to tylko trzy tygodnie, naprawdę istnieją większe katastrofy życiowe niż praktyka studencka w jakimś Reszlu.

– Ani się obejrzyysz, jak będziesz z powrotem! – Spróbowała raz jeszcze.

– Łatwo ci mówić, ty jedziesz do Łodzi – odparowała nadal wściekła Michalina.

Tak naprawdę sama sobie była winna. Od początku powinna pojechać, albo przynajmniej zadzwonić, do tego muzeum, ale ona zaufała słowu pisanemu i zapewnieniom przystojnego muzealnika. Bo przecież Janek obiecał jej tę praktykę. Miała spędzić trzy cudowne tygodnie w Muzeum Narodowym we Wrocławiu u boku tego wyjątkowego faceta.

Od dwóch miesięcy wyobrażała sobie spacerować po Ostrowie Tumskim, kiedy o zmroku latarnik zapala latarnie gazowe, park Szczytnicki ze słynnym ogrodem Japońskim, pergolą i multimedialną fontanną, wrocławski Rynek i w końcu Afrykarium. Miała tyle zobaczyć i zwiedzić, a do tego miała być z Jankiem!

Więc jakim cudem wylądowała w Reszlu?! Przecież dała Jankowi podanie, a on obiecał, że wstawi się za nią u kustosza. Była pewna, że z protekcją młodszego konserwatora i świetnymi ocenami w indeksie, miejsce ma zaklepane. Zresztą mieli tam przyjmując aż troje praktykantów. To co nie zagrało?

– Zaraz! A kto w takim razie jedzie do Wrocławia? – zreflektowała się nagle Michalina.

Iga zmierzyła ją czujnym spojrzeniem. Oczywiście, że znała odpowiedź na to pytanie, ale nie była pewna czy chce podzielić się tą wiedzą z Miśką.

– Nie wiesz? – Przeciągała, zastanawiając się, jak najmniej boleśnie uświadomić przyjaciółkę.

– No wyobraź sobie, że nie wiem! – Ironizowała koleżanka. – Gdybym wiedziała, to raczej bym cię o to nie pytała... – Patrzyła na nią z oczekiwaniem.

– Adam Wiaderny, Aśka Boczkowska, no i ta... no... – zawahała się Iga, rozpaczliwie zastanawiając się, jak wybrnąć z niezręcznej sytuacji?

– Która?! Kto jedzie jako trzeci?! – wyszczała Michalina.

O dwojce kolegów, wymienionych przez przyjaciółkę wiedziała. Adam był z Wrocławia i dawno wychodził sobie tę praktykę. Zresztą nawet bez odbywania stażu, kiedy tylko był w mieście, każdą wolną chwilę spędzał w Narodowym. Wszyscy zastanawiali się, dlaczego studiuje w Warszawie, a nie na wrocławskim uniwerku, ale nigdy nie chciał o tym rozmawiać, chociaż wieść uczelniananiosła, że uciekł z domu przed zaborczymi rodzicami. Z kolei Aśka była córką znanego polityka, którego matka mieszkała w stolicy Dolnego Śląska. Już od początku semestru mówiła, że na praktyki jedzie do babci i wszyscy wiedzieli, że ojciec stanie na głowie, żeby spełnić zachciankę uwielbianej jedynaczki.

Ale miejsca były trzy, to trzecie miało być dla niej!

– No mówże wreszcie! – Michalina nie znosiła, kiedy coś działo się nie po jej myśli.

– Wioleta – jęknęła zrezygnowana Iga. – To Wioleta jest tą trzecią.

– Cooo? – Miśka już nawet nie powstrzymywała łez.

W zasadzie to powinna się tego spodziewać. Poznała Janka, kiedy przyjechał do Warszawy z wystawą „Sztuka Polska XVII wieku”, wypożyczoną z wrocławskich zbiorów muzealnych. Spotkali się już pierwszego dnia, a potem, przez dwa tygodnie jego pobytu, byli praktycznie nierozłączni. Przed powrotem do Wrocławia wybrali się potańczyć i w klubie spotkali Wioletę.

Dziewczyny nigdy się nie lubiły. Wyniosła, narcystyczna, ale również bardzo atrakcyjna Wioletka była przeciwieństwem Michaliny. I to pod każdym względem. Miśce nie odpowiadało jej egoistyczne, żeby nie powiedzieć hedonistyczne podejście do życia i ocenianie ludzi po metkach na ubraniu. Sama wychowana w bardzo tradycyjnej rodzinie, zwracała uwagę na to, co kto ma w głowie, nie oceniając po pozorach i nie dążąc po trupach do celu.

Ale przypuszczała, że w tym przypadku raczej nie chodziło o charakter. Wioletę można było uznać za kanon współczesnego, kobiecego piękna, pożądanego przez większość mężczyzn. Wysoka, szczupła, wysportowana, zawsze, bez względu na warunki pogodowe, odziana w mini do połowy zgrabnego uda i na niebotycznie wysokich obcasach. Do tego burza blond loków, duże niebieskie oczy i perfekcyjny makijaż. Taka lokalna Barbie, czegoż można chcieć więcej?

W porównaniu z nią Michalina wyglądała nie tylko jak uboga krewna, ale jak ostatni kocmołuch. Była niewielkiego wzrostu, dość przysadzista, o szerokich biodrach i masywnych udach, wiecznie okrytych spranymi jeansami. Imponujących rozmiarów biust i wąską talię ukrywała w szerokich bluzach, swetrach i luźnych koszulach. Włosy w kolorze rudego blondu skręcała w ciasny kok, a jej twarz pokrywały dziesiątki piegów. Do tego spory nos, wiecznie zaciśnięte usta i zero makijażu. Jedyne, co miała naprawdę piękne, to były oczy. Ogromne, w kolorze brązu pomieszanego z zielenią, i pomimo bardzo jasnej karnacji, w oprawie czarnych gęstych rzęs, przyciągały uwagę mężczyzn i były powodem zazdrości kobiet.

Tak, zdecydowanie Michalina nie dorastała Wiolecie do pięć, a przynajmniej tak uważała. Wtedy w klubie widziała jak Wioletka gapi się na Janka. Wyciągnęła go nawet na parkiet, a potem przez trzy kawałki mizdrzyła się, wydymając te swoje przerysowane usta i wypinając sztuczny biust. Już wówczas powinna się jej zapalić czerwona lampka, ale zlekceważyła zagrożenie. Zakochanej dziewczynie wydaje się, że ma u stóp cały świat. No to teraz ma, skoro jej się wydawało, a właściwie to już nie ma...

– Skąd to wszystko wiesz? – Wychlipała, odtrącając rękę Igi, która gładziła ją po plecach. – Jesteś pewna, że Wioleta dostała to miejsce?

– Tak. – Przyjaciółka uciekła spojrzeniem w bok. – Wszyscy na roku wiedzą. Od tygodnia chwali się, że to Janek jej załatwił...

Michalina nie słuchała dłużej, podniosła plecak i szybkim krokiem zaczęła iść w stronę metra.

– Miśka, zaczekaj! – Za plecami słyszała głos Igi. – No nie wygłupiaj się! Wracaj!

Nie odwracając się, przyspieszyła kroku.

Była wściekła, czuła się zdradzona i rozczarowana. Nie tylko wyborem Janka, ale również tym, że jej najlepsza przyjaciółka o wszystkim wiedziała i nie raczyła jej powiedzieć.

Jeszcze tydzień temu słyszała, jak Jurek wspominał, że zostało kilka miejsc do wyboru praktyk. Gdyby tylko wtedy wiedziała! A teraz? Teraz dostała Reszel! Wprawdzie ciągle mogła szukać stażu na własną rękę, ale teraz, kiedy najlepsze miejsca były już zajęte, nie miało to większego sensu.

Jakie życie jest niesprawiedliwe, pomyślała, kiedy wpadając na stację metra ujrzała odjeżdżające wagoniki.

II.

Die 28 Junii, Anno Domini 1811

„Czemuż to słońce tak pali?” – myślała Basia maszerując z dwojaki na pole. Matka kazali zanieść strawę kosiarzom, to i poszła, ale bojała się okrutnie. Słońce stało wysoko na niebie, że tylko patrzeć jak południca z żyta wyskoczy.

Barbara przyspieszyła kroku, nie uśmiechało się jej wojować z demonem pośrodku pola. Czowała, że poradziłaby sobie z diabłą córką, ale ani chęci na to nie miała, ani swojej mocy pokazywać sąsiadom nie zamierzała. Jeszcze nie czas.

Westchnęła z ulgą, kiedy dojrzała mężczyzn uwijających się na łące. Dookoła pachniało skoszonym sianem, a naręcza zżętych ziół i traw wiewły, prząc się w słońcu.

– Szczęść Boże! – przywitała się, stając w cieniu starej, rozłożystej gruszy i ocierając rąbkiem fartucha spocone czoło.

– Lepi, jak kto dopomoże – zarechotał obleśnie Tadzik. – Cóżżeś tu przyniessa? – Zajrzał do dwojaków, a potem klepnął dziewczynę w pośladek.

– Zsiadłe mliko i ziemnioki kraszone skwarkami. – Basia odkryła ściereczkę, ignorując zaloty Tadeusza. „Nie dla psa kielbasa”, pomyślała, a uśmiechając się zachęcająco, wyjęła drewniane łyżki. – Jedzta na zdrowie.

Mężczyźni odłożyli kosy i ochoczo zasiedli do posiłku. Baska wiedziała, że dwóch chłopca nie naje się do syta zawartością dwojaków,

ale to było wszystko, co miały, ani ona, ani matka, ani siostra dzisiaj nie zjedzą sytej wieczerzy. Głód opędzą zupą z pokrzyw.

W milczeniu patrzyła, jak stukając łyżkami wybierają resztki strawy. Przycisnęła koszyk do brzucha, czując jak jej kiszki marsza grają. Nie pamiętała, kiedy ostatnio mogła tyle zjeść. Ale sąsiadów trza było nakarmić, kobiety same nie poradzą, łąki nie skoszą, a jak pójdą na odrobek to i najedzą się do syta. Westchnęła ciężko, zbierając statki. Czekala ją droga powrotna, a gorączka wcale nie zelżała. Żar lał się nieba, a koszula kleiła się do spoconego grzbietu.

Starszy mężczyzna poszedł na skraj łąki i zamachnął się kosą. Dziewczyna stała przez chwilę, patrząc jak falujące łany łąki smętnie padają na ziemię. „Taki los każdego, czy badyła, zwierzęcia, czy ludzki” westchnęła smutno w myślach, odwracając się, żeby podnieść koszyk i wpadając prosto na Tadzika, który czał się za jej plecami.

– O patrzajta ją! Jaka chętna. – Chłopak się roześmiał, ciągnąc Baśkę na kopę schnącego siana i próbując wcisnąć swoje brudne łapska pod zapaskę.

Dziewczyne owionął jego pot i oddech cuchnący zepsutymi zębami i strawioną cebulą. Zemdlilo ją i tylko pusty żołądek powstrzymał wymioty.

– Dałbyś se spokój – odtrąciła jego ręce, próbując wstać i poprawić spódnice. Była wściekła, ale starała się nie okazywać złości, tylko obrócić w żart jego umizgi. – Ja nie kura, co by mnie macać.

– No daj całusa, nie chytruj – Tadzik nie zamierzał łatwo puścić swojej zdobyczy. – Dyc ja widział jak za mną ślipiami wodzisz! – Mocno chycił ją za piersi i ścisnął boleśnie.

W pierwszej chwili Barbara zdrętwiała. Patrzyła w jego pełne pożądania oczy, wyszczerzone, spróchniałe zęby i ślinę wyciekającą

z kącików ust i wiedziała, że jej nie odpuści. Błyskawicznie podjęła decyzję, nie pozwoli żeby to bydlę zabrało jej wianek, prędzej żywot straci, niż pozwoli mu się tknąć.

Jeszcze raz spróbowała się podźwignąć, ale chłopak był silniejszy, przytrzymał ją kolanem i bez ceregieli wykręcił rękę, drugą sięgając pośladków. Przestała się wzbraniać i pozwoliła pchnąć w stronę narzucanego siana. Mdlilo ją, kiedy wtulił śmierzący pysk w jej biust. Kątem oka widziała gliniany dzban z resztką wody. Kiedy zwałił się na nią, pochwyciła naczynie i z całej siły rąbnęła go w łeb. Mężczyzna zachwiał się zamroczony i stoczył z niej niczym kłoda, a z rany popłynęła cienka strużka czerwonej, lepkiej posoki.

Drugi kosiarz przerwał robotę, spoglądając z zainteresowaniem na rozgrywającą się scenę. Barbara poderwała się błyskawicznie i obciągnęła spódnicę. Nie wiedziała, co powinna teraz zrobić. Sprawdzić czy jeszcze dycha, czy też raczej biec w te pędy do chałupy. Wybrała tę drugą opcję i biegiem puściła się wzdłuż łąki.

W tej samej chwili Tadzik odzyskał przytomność. Ryknął niczym zraniony zwierz i poderwał się za uciekinierką, ale nogi się pod nim ugięły i z impetem rymsnął na siano.

– Pozalujesz suko! – gonił ją głos Tadzika – Jesce bedziesz bła-gać, co bym cie wzion cioto! Bodajbyś pękła, ty carci pomiecie...

III.

Michalina siedziała w nagrzanym autobusie i rozmyślała o niesprawiedliwości, jaka ją spotkała. Do tego jeszcze ten niemiłosierny upał, dawno nie było tak gorącego lata. Praktycznie od połowy czerwca nie spadła kropla deszczu, więc teraz, pod koniec lipca, na poboczach straszyla zrudziała trawa, a krzaki i drzewa smętnie zwieszały podeschnięte liście. Czuła, jak spodnie przyklejają się jej do siedzenia, a podkoszulka namaka potem. Mimo to kierowca nie włączył klimatyzacji, a na jej prośbę, czy mógłby to zrobić, nawet nie zaszczycił jej spojrzeniem.

Była zła i zmęczona. Najpierw pięć godzin tłukła się w pociągu, potem dwugodzinne oczekiwanie na autobus, a teraz podskakiwała na wybojach w tej nagrzaney, dusznej puszczy. „Dobrze, że to tylko trzydzieści minut” myślała, wachlując się planem praktyk, który jeszcze przed chwilą uważnie studiowała.

Od świata oddzielały ją słuchawki na uszach i ciemne okulary na nosie, to była jej namiastka prywatności. Miała wrażenie, że bez nich stopiłaby się z tłumem i stała częścią tej prowincjonalnej całości.

Bo Michalina też była stąd. Nie z Reszla czy Kętrzyna, ale z równie zapyziałego zaścianka, a w zasadzie jeszcze gorszej pipidowy. Ponad połowę swojego życia mieszkała w małej wiosce pod litewską granicą – Poszeszupiu. I pewnie nigdy by się stamtąd nie wyrwała, gdyby nie jej zamiłowanie do historii. Już w gimnazjum wygrywała nie tylko lokalne, ale również

ogólnopolskie olimpiady, i chociaż rodzice nie byli zachwyceni, to po długich rozmowach z wychowawczynią, zgodzili się na naukę w suwalskim liceum. Potem były kolejne osiągnięcia, co zaowocowało zakwalifikowaniem do programu stypendialnego dla wybitnie uzdolnionych i otworzyło jej drogę na wymarzone studia.

Wybrała historię sztuki na Uniwersytecie Warszawskim nie tylko dlatego, że kochała historię, ale też dostrzegając szansę na wyrwanie się z tego znienawidzonego zaścianka. Zamknęła drzwi i nie oglądając się za siebie ruszyła na podbój stolicy.

Pierwsze tygodnie były jak z bajki. Bliskość kin, teatrów, muzeów, a nawet akademik, gdzie nie trzeba było palić w piecu i zawsze leciała gorąca woda z kranu, było dla Michaliny spełnieniem dziecięcych marzeń. Ale z czasem zaczęła dostrzegać też minusy. Pomimo że kochała życie w wielkim mieście, męczyła ją hałas, ciągły harmider splatających się ludzkich głosów, brak prywatności i emocjonalna samotność. Brakowało jej śpiewu ptaków, szumu rzeki i otwartych suwalskich przestrzeni, a także zwykłej ludzkiej życzliwości i szacunku dla drugiego człowieka. To wszystko zastąpiono ciągłym pośpiechem, wyidealizowanym wirtualnym światem mediów społecznościowych i dążeniem do bycia lepszym od reszty. Tu status społeczny i gra pozorów były ważniejsze niż prawdziwy człowiek i codzienna rzeczywistość. Nie chciała się do tego przyznać, ale coraz częściej tęskniła za domem, za chłodną, przejrzystą Szeszupą i za poczuciem nieskrępowanej beztroski, którą bezpowrotnie utraciła.

Miśka powoli zaczęła dostrzegać, że jest inna. Wyróżniała się nie tylko akcentem, który pomimo wielu starań nadal był lekko

słyszalny, ale też podejściem do studenckiego życia. Ciągłe ślezczała nad książkami, a niewielką ilość wolnego czasu, jaka jej zostawała, spędzała w muzeach, galeriach lub teatrze. Koledzy z roku mieli ją za skąpiradło i kujona, a ona utrzymując się tylko ze stypendium, drżała o każdą ocenę i obsesyjnie liczyła każdą złotówkę.

Michalina nie chciała się do tego przyznać, ale pomijając lokalizację, to ta praktyka w Reszlu spadła jej jak nieba. Niezwykle rzadko płacą za studenckie staże, a jeszcze rzadziej dają bezpłatne zakwaterowanie. A tu nie dość, że miała zapewnione mieszkanie, to jeszcze kilka stówek wpadnie do portfela. Przy najmniej tyle.

Jej rozmyślania przerwał dźwięk telefonu. Zerknęła na wyświetlacz i po raz kolejny rozłączyła Igę. Nadal była na nią wkurzona, ale z każdą chwilą miała w sobie mniej złości. Teraz, kiedy emocje opadły, zrozumiała, że przyjaciółka chciała ją chronić. Może trochę bezmyślnie, ale nie zataiła tego ze złej woli. Zresztą miała tylko ją. Zaprzyjaźniły się w połowie licencjatu, a teraz były nierozłączne, zupełnie jak siostry. Gdyby nie Iga, nie wie, jak wytrzymałaby w Warszawie.

„Nie mogę rozmawiać. Odezwę się jak tylko się zainstaluję. Buziaki” – wystukała szybko, a już po chwili dostała emotikonki całusa i wyszczerzonego uśmiechu. Otwierając tę wiadomość odetchnęła z ulgą, naprawdę nie chciała się kłócić i było jej głupio, że zareagowała zbyt emocjonalnie.

* * *

– Reszel!

Miśka poczuła, jak ktoś szturcha ją w bok. Zasyczała i z wyrzutem spojrzała na starszą panią, która zajmowała miejsce obok.

– Obudźże się, dziewczyno! – Staruszka jeszcze raz szarpnęła ją za ramię. – Kierowca mówi, że tu wysiadasz. To Reszel.

– Co? Już? – zdezorientowana Miśka przetarła zaspane oczy, próbując zatrzymać resztki snu. Czowała, że śniło jej się coś bardzo ważnego, co powinna zapamiętać, ale brutalna pobudka bezpowrotnie przegoniła mgliste majaki.

Gwałtownie poderwała się z miejsca. Chyba zbyt gwałtownie, bo słyszała jak coś strzeliło jej w karku, tak boleśnie, że poczuła prąd idący do stóp.

Nie zwracając uwagi na rwący ból, wyszarpała z półki podręczny plecak i rzuciwszy szybko:

– Dziękuję pani, do widzenia – wybiegła z autobusu.

Kierowca z kwaśną miną stał przy otwartym bagażniku. Jej podróżna torba leżała już na bruku.

– Najpierw pół drogi marudzi, a potem cały autobus wstrzymuje – sarknął pod nosem.

– Przepraszam, musiałam zasnąć, sama nie wiem kiedy. – Było jej naprawdę głupio, szczególnie widząc w oknach autobusu chmurne twarze podróżnych, którym opóźniła odjazd. – Bardzo panu dziękuję – uśmiechnęła się nieśmiało.

– ...ma za co – usłyszała, kiedy zamykał drzwi.

Zarzuciła torbę na ramię i dopiero teraz poczuła pełnię uderzenia gorąca. Jeżeli w autobusie było jej ciepło, tu dosłownie

żar lał się z nieba, a rozpalony asfalt grzał niczym włączony piekarnik. Mimo że była osiemnasta, słońce nie zelżało, a na niebie próżno było szukać najmniejszej chmurki. Po upalnym dniu zapowiadał się równie upalny wieczór. Odkręciła butelkę i wysączyła ostatnie krople wody.

Stała przez chwilę, rozglądając się bezradnie. Google pokazywał dwie trasy, i jeżeli mapy nie kłamały, to do zamku miała jakieś pięćset metrów. Wybrała tę prowadzącą przez park miejski, rozmasowała bolący kark i szybkim marszem ruszyła w wyznaczonym kierunku. Po dwóch minutach skryła się w cieniu starych drzew i od razu poczuła przyjemny chłód. Droga była niezwykle malownicza i prowadziła tuż nad Sajną, leniwie płynącą kamienistym dnem.

Pomimo całej niechęci do tego miejsca, musiała przyznać, że park był przepiękny, ktoś wykonał kawał dobrej roboty. Zachwycaly ścieżki wijące się nad rzeką, kute barierki, łukowate sklepienia mostu i bluszcz porastający umocnione skarpy. Minęła tablicę informującą o niedawnej rewitalizacji i pomyślała, że udało się stworzyć wyjątkowo urokliwe miejsce, odrobinę mroczne, trochę zaczarowane, ale piękne i oddające klimat lat dawno minionych.

Droga powoli schodziła w dół, Google Maps z uporem twierdził, że co celu ma jakieś sto metrów, a ona nadal nie widziała zamku. Przeszła jeszcze kilkadziesiąt kroków i zrozumiała swój błąd. Wybierając trasę przez park, zafundowała sobie nie tylko zachwycającą wycieczkę krajoznawczą, ale też, na finiszu, ostrą wspinaczkę. Droga wcale nie prowadziła do zamku, a jedynie okrążała wzgórze, na które teraz musiała się wdrapać. Drewniane,

prawie pionowe schody, wbudowane w skarpę, może i były nie lada atrakcją, ale nie dla Miśki dźwigającej torbę, plecak, a do tego zmęczonej podróżą i upałem.

Klnąc pod nosem rozpoczęła mozolną wspinaczkę. Po kilku minutach, sapiąc z wysiłku, stanęła na szczycie przed rozsypującym się murem zwieńczonym łukami okien. Aplikacja pokazywała, że dotarła do celu, ale nigdzie nie było przejścia, no i przede wszystkim nadal nie widziała zamku! Stała przez chwilę, rozglądając się bezradnie, zanim dostrzegła ledwie widoczną ścieżkę, niknącą w pobliskich zaroślach. Z trudem przerzuciła torbę przez mur, przedarła się przez płataninę dzikiego bluszczu i chmielu, i odetchnęła z ulgą. Dotarła do kresu swojej podróży!

Gotyckie mury i monumentalne baszty sprawiały niezwykle wrażenie. Wszystko wyglądało tak realistycznie, że na chwilę wstrzymała oddech, czekając na dźwięk kopyt uderzających w podzamkowy bruk. Zupełnie jakby przeniosła się czasie. To kawał historii, dziwne, że nie zabrali ich tu na żadną szkolną wycieczkę – rozmyślała, starając się przypomnieć sobie najważniejsze fakty historyczne.

Niestety pamiętała niewiele, tylko tyle, że zamek został wybudowany w XIV wieku z myślą o siedzibie biskupów warmińskich. Wielokrotnie rozgrabiony, zniszczony i spalony, został odrestaurowany po II wojnie światowej i teraz dumnie górował nad okolicą.

Znowu przystanąła, chłonąc majestat tego miejsca. Zupełnie bez przyczyny poczuła mrowienie na całym ciele, a jej serce gwałtownie przyspieszyło. Poczowała szum w uszach, nogi się pod nią ugięły i pewnie by upadła, gdyby nie kamienny murek. Oparła się o niego ciężko i próbowała wyrównać oddech.

„To zapewne przez ten upał” – myślała, żałując, że nie chciało jej się poszukać sklepu, gdzie mogłaby kupić wodę. Stała jeszcze chwilę, opierając się o barierkę.

– Mam nadzieję, że tam na mnie czekają – westchnęła głośno, ponownie podnosząc torbę.

Najbardziej bała się, że muzeum będzie już zamknięte. Sprawdziła przed wyjazdem, obiekt można było zwiedzać pomiędzy godziną 9.00 a 18.00, teraz dochodziła osiemnasta trzydzieści, co będzie, jeżeli nikogo tam nie zastanie? Nie wiedziała nawet czy w mieście jest jakiś hotel z wolnymi miejscami.

Zadrzała mijając bramę wejściową. Miała wrażenie, że na dziedzińcu panował przejmujący chłód, nijak mający się do rozedrganego z gorąca powietrza.

– Zgubiła się pani? – Usłyszała za sobą miły, dziewczęcy głos.

Spoglądała na nią dziewczyna w bardzo zbliżonym do niej wieku, około 20–25 lat. Krótkie, ciemne włosy miała potargane i sterczące we wszystkich kierunkach, mały perkaty nos i lekko skośne, brązowe oczy. Niebieskie ogrodniczki z krótkimi nogawkami i podkoszulka w biało-granatowe pasy opinały jej bardzo szczupłą, chłopcęską figurę, odsłaniając patykowate nogi i podrapane kolana. Widząc, że przybyła przygląda się jej badawczo, szybko przyglądziła włosy i uśmiechnęła się łobuzersko, ukazując sporą diastemę między górnymi jedynekami:

– Latawiec się dzieciom zaplątał na drzewie – machnęła ręką w stronę bramy. – Pani do hotelu?

– Właściwie to nie. – Michalina odwzajemniła uśmiech. – Mam tu praktyki studenckie, tylko nie jestem pewna, czy ktoś jeszcze jest w biurze? – Spoglądała na nieznaną z nadzieją.

– W hotelu czy restauracji? – dopytywała dziewczyna.

– W muzeum.

– W muzeum? – Nieznajoma lustrowała ją uważnym spojrzeniem. – To znaczy na zamku? – Upewniła się z niedowierzaniem w głosie.

– No tak – Michalinę zaniepokoił jej ton. – A co, ktoś już przyjechał na to miejsce? – Nagle praktyka, której jeszcze przed chwilą nienawidziła, stała się dla niej najbardziej pożądaną rzeczą na świecie.

– Nee – dziewczyna patrzyła na nią nieufnie – ale jesteś pewna, że to skierowanie masz tutaj, a nie do Muzeum w Olsztynie? – Płynnie przeszła na bezpośrednią formę komunikacji. – Może coś pokręciłaś? – Nadal nie wyglądała na przekonaną.

Miśka zrzuciła z ramienia torbę i nerwowo poczęła grzebać w plecaku.

– Czekaj, zaraz sprawdzę – w jej głosie dźwięczały nutki niepewności. – Miałam w autobusie... – uklękła i kolejno wyjęła z plecaka: kosmetyczkę, portfel, szczotkę, paczkę chusteczek, butelkę po wodzie... – ...może zostawiałam na siedzeniu? – Wyrzucała kolejne przedmioty. – Mam! – Odetchnęła z ulgą i drżącymi rękami rozwinęła dokument. Szybko przebiegła wzrokiem po trzymanej w ręku kartce. – Oddział Muzeum Warmii i Mazur w Reszlu, z siedzibą Podzamcze 3, Reszel. Sama zobacz – pokazała pismo dziewczynie.

– Coś nieprawdopodobnego – skomentowała nieznajoma, oddając pismo Michalinie. – Mieszkam tu prawie dwadzieścia trzy lata i nigdy na zamku nie było żadnego praktykanta. – Przyglądała

się jej z zainteresowaniem, jakby była jakimś egzotycznym okazem. – Klara jestem – nagle wyciągnęła dłoń.

– Michalina. – Miśka odwzajemniła uścisk. – Nie wiesz czy tu ktoś jeszcze jest? Podobno mam zamieszkać na zamku – wybąkała zakłopotana.

– Pewnie – uśmiechnęła się Klara. – Przecież to hotel. Daj, pomogę ci – chwyciła jedno ucho ciężkiej torby i pociągnęła za sobą zdezorientowaną dziewczynę.

IV.

Die 1 Julii, Anno Domini 1811

– *Baško!* – *Z wnętrza chaty dochodziło zniecierpliwione wołanie.*

Barbara zamknęła oczy, zupełnie jakby mogło to zagłuszyć krzyk matki. Przez chwilę słychać było tylko świergot ptaków i ciężkie bzyczenie owadów. Przyjemny, poranny chłód, który przyniósł odrobinę wytchnienia, przeganiały fale nagrzanego, rozedrganego powietrza.

Dziewczyna wzięła głęboki wdech, sycąc się zapachem mieszaniny krwawnika i piołunu. Niezwykle rzadko miewała takie chwile jak ta, kiedy mogła sobie pozwolić na odrobinę lenistwa i posiedzenie w ciszy. Dzisiaj specjalnie wstała ze świtaniem, żeby zebrać zioła. Jeszcze przed wschodem słońca poszła na górkę, pod kapliczkę Najświętszej Pani, gdzie rozsiała się dzika mięta. Ziele było dorodne, soczyste i aromatyczne, szybko wypełniła cały kosz.

Zadowolona ze zbioru zbiegała ze szczytu, kiedy drogę zaszedł jej Jędrak. Nie zauważyła go wcześniej, teraz przestraszona, zahamowała gwałtownie, próbując złapać równowagę na stromym zboczu. Dobrych kilka garści mięty wypadło, gdy balansując ciałem, machnęła koszykiem.

– *A ty co się na mnie zasadzasz?* – *fuknęła, schylając się, żeby pozbierać rozsypane ziele.*

Nie słysząc odpowiedzi spojrzała na chłopaka. Był niewiele starszy od Grażki, miał niespełna trzynaście wiosen, płowe włosy,

okrągłą, piegowaną twarz i bezmyślne, rozmarzone oczy, nie pasujące do jego zwalistej postury. Od urodzenia kuśtykał na prawą nogę i zawsze chodził z solidnym kijaszkiem. Mimo niedzieli ubrany był w codzienny strój, lnianą koszulę i porcięta związane sznurkiem. Tylko patrzył na nią inaczej niż zwykle, ze złością, nienawistnie.

– Co tobie? – Spłoszona dziewczyna cofnęła się kilka kroków. – Zachorzałeś? Ziół ci potrze?

Parobek w milczeniu podniósł laskę, na której się wspierał i zamachnął z całej siły w stronę swojej rozmówczyni. Barbara nie czekała, co będzie dalej, porwała koszyk i co tchu pognęła w stronę lasu. Po chwili, nie słysząc odgłosów pościgu, przystanąła zdyszana i obejrzała się za siebie.

Widziała tylko zarys jego postaci na tle kapliczki i wschodzącego słońca. Jędrzek nadal stał w tym samym miejscu, opierając się ciężko na swoim kiju...

Teraz, kiedy rozwiesiła zioła i skończyła obrządek, przysiadła na pieńku, rozmyślając o porannym zajściu. Jędrzek zawsze był dla niej miły, a to drwa narąbał, a to tyczki w płocie naprawił, a czasem z wieczora z fujarką zaszedł i wygrywał skoczne melodie. To, co się stało na górze musiało mieć związek z Tadzikiem, starszym bratem Jędrzeja. „Widać jakichś bajdów mu napłótt”, myślała dziewczyna.

– Baško! Baško! – Wołanie matki wyrwało ją z ponurych rozważań. – Kaj ta dziewucha poszła? – słyszała sarkanie dochodzące z otwartego okna.

Wstała niechętnie i powlokła się do chatupy. Wiedziała, że nie może napomnieć o spotkaniu z Jędrkiem. Dość się nastuchała za Tadka, chociaż żadnej jej winy w tym nie było, ale stara Paruchowa wpadła z awanturą, że niby syna jej poturbowała. Ponoc

nogę se skręcił, jak na ziemię gruchnął. Na samą myśl o tym Basia zaśmiała się w duchu.

– A czego ksycycie? Stało sie co? – zagadnęła od progu.

– A stało, stało – jęczała matka. – Gorąc taki, ze ledwie zipię, a nawet kubka wody ni ma mi kto podać. Nieużyta mom córkę – sapiała.

Baśka westchnęła ciężko, matka w chorobie była nieznośna. W chacie rzeczywiście panowała duchota, ściany lepianki i dach kryty strzechą nie stanowiły ochrony przed żarem lejącym się z nieba, ale też i nie było takiego skwaru, co by aż tak wyrzekać. Podchodząc do łóżka spojrziała na nią z przyganą, lecz jeden rzut oka wystarczył, żeby stwierdzić, że to coś więcej niż zwykłe biadolenie.

– O Jezusicku! – pisnęła zatroskana. – A co to wam, matulu? Gorzej?

Kobieta była cała rozpalona. Rzadkie, mokre od potu, włosy oblepiały jej czaszkę, twarz miała czerwoną i napuchniętą, a z chorej, wzdętej ręki, sączył się zielonkawy płyn.

– Pić się chce i dychać nie ma cym – poskarżyła się chora, obliżując spierzchnięte wargi.

– Czekaajta, juz wam daje! – Zaczerpnęła świeżej wody z wiadra. – Tylko uważajta, pomalutku. – Podniosła starą na poduszce. – Jesce okład wam zrobie. – Zwilżyła złożone na czworo, czyste płótno i przyłożyła na rozpalone czoło. – Leżta, zaraz co zgotuje – zaleciła, idąc do komory po zioła.

Już po chwili sama była zgrzana i upocona, pod piecem buzował ogień, a ona szykowała mieszankę krwawnika, rumianku, liści brzozy i kory wierzby. Oby pomogło. Nie powinna zostawiać chorej samej przez tyle czasu, ale Grażka, jej młodsza siostra, miała jej pilnować.

„Wszystko na mojej głowie” – pomyślała, przelewając napar do dzbanka. Baśkę martwił stan matki, kilka dni temu zachorowała na różę, pewnie z przeciągu się nabawiła choróbska. Najsampierw ręka czerwona i paląca się zrobiła, a potem krosty wysypały. Wtenczas uczyniła tak, jak ją babka uczyli, narzuciła matuli czerwoną chustę na rękę, ukręciła siedem gałek z lnu i spaliła, szepcząc:

„Scęśliwy był dzień, kiedy Pan Jesus się narodził. Scęśliwa była godzina, kiedy Najświętsza Panna porodziła syna. Żeby taka była scęśliwa godzina, jak te róże z ręki zażegnycwać. Nie swoją mocą, tylko Bożą mocą, Najświętszej Panny i wszystkich świętych pomocą”...

Trzy dni z rzędu chorobę spędzała i wydawało się, że już na lepsze idzie, wczoraj matula wieczere zjedli, a dziś na nowo gorączka rozgorzała, a i z ręki posoka się puściła. Odchyliła opatrunek z płótna. Pojedyncze pęcherze zlały się w jedną ropiejącą ranę. Nie wyglądało to dobrze.

Napoiła matkę przygotowaną mieszanką, a kiedy chora opadła na poduszkę, skrzypnęły drzwi i do izby wpadła ubłocona Grażka, z wiechciem wiązówki w garści.

– Gdzieś ty ciekąła? – warknęła na siostrę. – Miałas chałupy pilnować.

Ta spuściła głowę i wyciągnęła ziele w stronę Baśki.

– Matula mówili, że toto ją wylecy. A może trza babke Mazurówką ze Świntej Lipki sprowadzić? – głos jej drżał.

– Wylecy, wylecy, głupias! – mrużąc pod nosem, wzięła od siostry pęk kwiatów, spętała i zatknęła nad piecem – jak jej Pan Bóg nie wylecy, to najlepszy likorz nie pomoże. Spać tera będzie, a ja się do kościoła rychtuję, muszę wody święconej przynieść, bo dla ni to

ostatni ratunek – spojrzała na siostrę, która na te słowa skuliła się jak od smagnięcia bata. – Ty na nieszpory pójdziesz, teraz matki doglądaj i jeno mi z chałupy nie wychodź.

* * *

Barbara szybkim krokiem zmierzała do domu. Pociła się obficie w mocno ściśniętym gorsecie, który wpijał się jej bolesnie pod pachami, a kwiecista chusta osłaniająca włosy była prawie mokra. Obiema rękami mocno ścisnęła gliniany dzbanuszek ze święconą wodą, a za plecami słyszała szum nienawistnych szeptów:

– Widzieliście? – niósł się głos Paruchowej – ledwie do ołtarza doszła świca zgasła.

– A pewnie, że widziałam, aż dobrodziej pobladł – wtórowała jej Macioszkowa.

– Zobaczyta, że nieszczęścia napyta całej gromadzie...

Dziewczyna nie wiedziała, czyj jest trzeci głos, ale nie chciała tego dłużej słuchać. Skręciła w stronę Sajny, nadłożyła drogi, ale nikt z sąsiadów w tę stronę nie szedł.

Po kilku minutach dojrzała szczyt chałupy. Przeszła przez bród, jeszcze parę kroków i skryje się w bezpiecznym miejscu. Jej myśli nadal krążyły między wydarzeniami ostatnich dni. Najsampierw Tadeusz, potem zasmarkany Jędrak, choroba matki, a tera jeszcze i to! Jegdy w kościele podeszła pod ołtarz, gwałtowny powiew wiatru rozwarł okno i zdmuchnął płomień świecy. Niby nic, a przecie duchota taka od miesiąca, że nawet najmniejszego podmuchu nie uświadczysz. Baby od razu jazgot podniosły, że niby niegodna stać pod krzyżem, ale ksiądz je zbeształ i zmilczały. Zaś ino wyszły

za próg kościoła, znowu zaczęły ujadać. A najgorzej Paruchowa. „Musi za Tadzika taka zawzięta i tera się na niej mści” – rozmyślała Basia.

Z lekkim niepokojem pchnęła drzwi i weszła do chatupy. Grażka na jej widok poderwała się z zydła.

– Śpią? – Baśka brodą wskazała matkę.

– Śpią – pisnęła dziewczynka – ino dychają tak ciężko, że aż strach słuchać.

– Możesz iść, ino nie łaż daleko – zwolniła siostrę, która uradowana, natychmiast wybiegła na słońce.

Sama z ulgą zrzuciła gorset i wełnianą chustkę, wciągnęła na grzbiet zwykłą koszulinę i zaś rozpalila w piecu. Już po chwili ogień buchał wesóło, a dusznej chacie prawie nie szło wytrzymać. Nie pomagały rozwarte okna, powietrze było gęste, że nożem można było kroić.

Baśka odczekała aż ogień przygaśnie, wybrała siedem małych, żarzących się drewniek i wrzuciła do dzbanuszka. Święcona woda zabulgotała sycząc. Dziewczyna nakreśliła znak krzyża, odmówiła trzy zdrowaśki i podeszła do chorej. Matka nadal była nieprzytomna. Delikatnie rozwinęła opatrunek na ręce i maczając gałganek w przygotowanej miksturze, poczęła przemywać sączące się rany, mruczając coś pod nosem.

V.

Michalina przetarła zaspane oczy. Zdawało jej się, że dopiero przyłożyła głowę do poduszki, a już włączył się budzik w telefonie. Zwykle miewała lekki sen, ale tej nocy, zmęczona upałem, podróżą i nadmiarem emocji, spała jak zabita. A jeszcze wieczorem myślała, że nie zmruży oka.

Spełnił się jej czarny scenariusz, nikt na nią nie czekał. Biura zamknięto o godzinie 18.00, a na zamku została tylko obsługa hotelu i restauracji. Nie miała pojęcia, gdzie spędzi tę noc. Na szczęście spotkała Klarę.

Nowa znajoma rzuciła krótkie: „Poczekaj tu” i zniknęła w czełściach zamku. Miśka siadła okrakiem na torbie, wyciągnęła komórkę i zaczęła wyszukiwanie noclegów w okolicy. Nie było tego wiele, a szczupły budżet nakładał na nią poważne ograniczenia. Jednak po kilkunastu minutach niepewności, w drzwiach hotelowego wejścia, pojawiła się uśmiechnięta Klara.

– Łap bagaż, załatwiłam ci miejscówkę – wyszczerzyła zęby.

– Jak to zrobiłaś? – W głosie Michaliny niewymowna wdzięczność mieszała się z niedowierzaniem.

– Magia – puściła do niej oko rozbawiona Klara – a poważnie, to dyrektorem hotelu jest mój stryjo. Zapytałam czy ktoś o tobie wspominał i okazało się, że tak, tylko myśleli, że będziesz dopiero w środę...

Miśka zamarła, rzeczywiście praktyki zaczynała od jutra, ale nie miałyby tu jak dotrzeć na ósmą rano. Wydawało jej się, że

to dobry pomysł, żeby przyjechać dzień wcześniej. I pewnie był dobry, ale znowu nie pomyślała i nie dała nikomu znać. Powinna powiadomić opiekunkę stażu, że zjawi się dzień wcześniej, przecież miała jej telefon i mail.

– ... reasumując, będziesz spała w służbówce.

– Gdzie?

– No mówię przecież, w służbówce – Klara nie traciła dobrego humoru. – Mamy takie małe mieszkanie w przyziemiu zamku, którego nie wynajmuje się gościom. Do Hiltona mu daleko, ale łóżko wygodne, na głowę nie pada i umyć się można. Takie zapasowe lokum na wszelki wypadek, no i ma osobne wejście – zachwalała. – No chodź, na co czekasz – pociągnęła za kłopotaną Miśkę za rękę. – Aaa i stryjek powiedział, że jak jesteś taka fajna, to możesz na śniadania przychodzić.

– Ja? Fajna? – Zdziwiła się Michalina.

– A co, nie jesteś fajna? Bo powiedziałam mu, że jesteś – paplała wesoło Klara, wchodząc do małego przedsionka i skręcając w ceglany korytarz oświetlony jedynie nikłym światłem sączącym się z zakratowanego plafonu. Miśka zadrżała i nie była to tylko wina chłodu, jaki emanował ze starych, wilgotnych ścian. Miejsce sprawiało ponure wrażenie, nasuwając skojarzenia z wejściem do lochu, tym bardziej, że schody lekko schodziły w dół.

– Nie wiem, nikt mi nigdy nie mówił, że jestem fajna – zawałała się Michalina, rozglądając niepewnie na boki.

– No to ja mówię. Jesteśmy na miejscu! – Jej towarzyszka przekręciła klucz i pchnęła masywne, drewniane drzwi.

Oczom dziewcząt ukazał się niski, mały pokój z wąskim oknem pod sufitem i kolejnymi drzwiami w rogu. Tutaj ściany

były otynkowane i pobielone, ale panował taki sam chłód jak na korytarzu. Wyposażenie stanowiło wąskie łóżko, zaślane niebieską kapą, z dodatkowym kocem w nogach, komoda i niewielki stolik z dwoma krzeselkami, na którym ustawiono tacę z kubkiem, talerzykiem, sztućcami i czajnikiem elektrycznym. Surowe wnętrza ożywiały: wisząca pośrodku ściany, niewielkich rozmiarów akwarela, przedstawiająca reszelski zamek i nocna lampka z kolorowym, witrażowym kloszem, stojąca przy łóżku.

– Klima wliczona w cenę – zażartowała Klara, widząc niechętną minę nowej znajomej. – Zresztą będziesz tu tylko spała. Tam masz łazienkę – otworzyła drugie drzwi ukazując mikroskopijne wnętrza z prysznicem, umywalką, małym lustrem i toaletą, nawet półka na kosmetyki się już nie zmieściła. – A teraz muszę już lecieć, tu masz klucz – wcisnęła jej w rękę zadziwiająco mały kluczyk, doczepiony do drewnianej kuli zawieszanej na łańcuszku. – Śpij dobrze i zapamiętaj, co ci się śniło, to podobno ważne na nowym miejscu. – Zamknęła drzwi, zanim Michalina zdążyła jej podziękować za pomoc, żeby otworzyć je już po kilku sekundach. – Aha i zapomniałam ci powiedzieć, że mieszkasz bezpośrednio nad dawnym więzieniem, gdzie przetrzymywano i torturowano Barbarę Sdunk. A teraz naprawdę uciekam. Pa. – Ponownie trzasnęła drzwiami, a już po chwili słysząc było jak biegnie po schodach.

– Pa, i dziękuję – wyduсила z siebie Miśka, chociaż Klara dawno była już na dworze.

* * *

Zanim zabrała się do rozpakowania swojego skromnego dobytku, w pierwszej kolejności wygrzebała gruby sweter, który w ostatniej chwili dorzuciła „na wszelki wypadek”. Nie przypuszczała, że w tak upalny dzień go włoży, a zanosilo się, że będzie w nim przesiadywać codziennie. Grube, zimne zamkowe mury niosły przyjemną ochłodę od temperatur panujących na zewnątrz, ale na dłuższą metę w pomieszczeniu było naprawdę zimno, co najwyżej kilkanaście stopni.

Miśka wspięła się na łóżko i wyjrzała przez niewielkie okno. Na poziomie oczu miała dziedziniec i studnię zlokalizowaną pośrodku zamkowego placu, pewnie rano ujrzy kostki i kolana turystów błakających się wśród starych murów. Otworzyła okno i do pomieszczenia wlała się fala rozgrzanego powietrza, od razu poczuła się różnie. „Może nie będzie tak źle?” – pomyślała, zabierając się do rozpakowywania.

Pomimo że szybko uwinęła się z rozłożeniem rzeczy, dochodziła już dwudziesta druga. W brzuchu burczało jej z głodu, na szczęście miała jeszcze kanapki z podróży. Jej nadopiekuńcza matka naszykowała tego tyle, że dwie osoby by się najadły. Była zła, że nie pomyślała o podstawowych zakupach, nie miała nawet herbaty, dopiero jutro znajdzie jakiś sklep i zrobi zaopatrzenie. Teraz musi wystarczyć zagotowana woda, którą popijała, żeby choć trochę rozgrzać swoje rozdygotane ciało.

– Ciekawe czy działa tu telefon – wymruczała pod nosem.

Niestety na wyświetlaczu telefonu widniała ledwie jedna kreska, więc o dostępie do netu mogła zapomnieć. Sprawdziła

dostępne sieci Wi-Fi, „Podziemia” miała pełen zakres, a do tego nie była zabezpieczona. Zalogowała się jednym kliknięciem i już po chwili mogła śmigać po Internecie.

Natychmiast wklepała „Barbara Sdunk”. Nie chciała się przyznać, ale nie pamiętała, o kim mówiła Klara. Tłukło jej się to nazwisko po głowie, wiedziała, że gdzieś już je słyszała, tylko nie potrafiła połączyć go z żadną historią. Zresztą od dwóch miesięcy przerabiała dzieje Wrocławia i zbiory zgromadzone w Muzeum Narodowym. Kto by sobie zawracał głowę jakimś Reszlem?

– Szlag! Szlag! Szlag! – powtarzała, gapiąc się na wyniki wyszukiwania.

Wyszarpała z plecaka laptop, udostępniła połączenie i już po chwili, z wypiekami na twarzy, zasiadła do lektury:

„Barbara Sdunk – urodzona w Pleśnie, w sierpniu 1788 roku, ostatnia kobieta spalona w Europie za uprawianie czarów...”

Kiedy Michalina zamykała oczy, wiedziała o Barbarze wszystko, co można była wyszperać na stronach internetowych.

* * *

Szczotkując włosy, starała się przypomnieć i poukładać sobie wszystkie, wczoraj zdobyte, informacje.

Jak mogła nie pamiętać o ostatniej wiedźmie zgładzonej w Reszlu?! Nawet babcia opowiadała jej tę historię. Młoda, zaledwie dwudziestotrzyletnia dziewczyna, została skazana za czary i spalona na pobliskim Wzgórzu Szubienicznym. I to wszystko pod oświeconym, słynącym z tolerancji zaborem pruskim i za cichym przyzwoleniem Fryderyka Wilhelma III.

Miśka spięła włosy i rozmasowała bolący kark, ciągle czuła kłucie w odcinku szyjnym. Do listy najważniejszych zakupów dopisała jeszcze żel przeciwbólowy. Spakowała dokumenty, przejrzała się w malutkim lusterku i uznawszy, że lepiej już nie będzie, wyruszyła na spotkanie z reszelskim przeznaczeniem.

* * *

Pierwszy dzień minął jak z bata strzelił. Michalina z samego rana załatwiła formalności, oddając skierowanie niezbyt rozmownej pani kustosz i otrzymując w zamian rozpiskę, co należy do jej obowiązków. Nie było tego wiele. Przez dwa i pół tygodnia miała wprowadzać do programu ręcznie spisane fiszki zbiorów wystawianych w galerii oraz obfotografować i wstępnie opisać eksponaty przechowywane w składziku, żeby z końcem trzeciego „wyjść do ludzi”, czyli uczestniczyć w oprowadzaniu zwiedzających.

Kustosz Alicja Dąbkowska wyglądała jakby ciągle nie dowierzała w to, że jednak ktoś się na tej praktyce pojawił i nie bardzo wiedziała, co teraz z nią począć. Zaprowadziła Michalinę do wieży zamkowej, gdzie mieściła się galeria, a potem wskazała małe biurko w przedsionku swojego gabinetu i zniknęła na dobre.

Miśka z przyjemnością zanurzyła się w odmęty historii i praktycznie wszystko sprawiało jej przyjemność. Nie tylko obcowanie z eksponatami, ale też czytanie pośliskłych kart katalogowych, a nawet samo przebywanie w murach przesiąkniętych historią. Zbiorów nie było zbyt wiele, stanowiły je przede wszystkim

przedmioty znalezione przy wykopaliskach archeologicznych i remoncie zamku, związane z historią Reszla na przestrzeni wieków.

Nadal nie chciała się do tego przyznać, ale z każdą chwilą coraz mniej żałowała, że tutaj wylądowała. Było w tym miasteczku coś magicznego, coś, co przyciągało ją jak magnes. W zasadzie to właśnie z takich klimatów uciekła do tętniącej życiem Warszawy i obiecała sobie, że nigdy już nie wróci na prowincję. Ale paradoksalnie to właśnie tu czuła się jak w domu.

W przerwie obiadowej poszła zrobić zakupy i ze zdziwieniem spostrzegła, że porusza się po miasteczku jakby całe życie w nim mieszkała. Patrząc na ratusz i średniowieczną studnię miała wrażenie, że od dawna nosiła w sobie ten obraz, a malownicze kamieniczki zachwycały ją bez reszty. Nie drażnił jej nawet zaściankowy koloryt, chociaż mentalnie przenosił w początek lat siedemdziesiątych XX wieku.

Teraz, przeglądając kronikę miasta, całkowicie straciła poczucie czasu.

– A ty zamierzasz tu dzisiaj nocować? – Michalina podskoczyła, kiedy nad głową usłyszała głos Klary. – Zbieraj się, idziemy nad Sajnę.

– Chyba nie mam ochoty – Miśka nie zamierzała przerywać studiowania książki. – A poza tym jeszcze nie skończyłam.

– Weź się nie wygłupiaj! – Klara zamknęła kronikę. – Praktyki masz do czternastej, wiem, bo pytałam Dąbkowskiej, a to – wskazała opasłe tomisko – do jutra ci nie uciekniesz. Chodź, szkoda słońca! – Wyłączyła lampkę stojącą na biurku. – Przebierasz się i lecimy. Chyba zabrałeś ze sobą jakiś strój kąpielowy?

Michalina ze zdziwieniem patrzyła na nową znajomą. Zawsze onieśmiały ją bezpośrednio, pewne siebie osoby, a w porównaniu z dotychczasowymi znajomymi, Klara była wyjątkowo ekspansywną i dominującą osobowością.

– Nie – nadal ociągała się ze wstaniem z krzesła.

– Poważnie? – Nowa znajoma przyglądała się zdziwiona. – W takim razie najpierw idziemy do Pati. No chodź już w końcu – ponagliła ją po raz kolejny.

* * *

Czterdzieści minut później Miśka, leżąc na kocu, w skąpym, niebieskim bikini, zastanawiała się jakim cudem dała się na to wszystko naciągnąć. Nie dość, że stała się uboższa o siedemdziesiąt siedem złotych, to miała na sobie strój, którego sama nigdy by nie wybrała. Ponadto stała się posiadaczką trzech koszulek na ramiączkach, szarych, płóciennych szortów i bawełnianej sukienki w kolorowe kółka.

Pod tajemniczo brzmiącym określeniem „Pati” skrywał się bowiem lokalny second hand, prowadzony przez rezolutną dziewczynę o imieniu Patrycja. Kiedy tylko przekroczyły próg sklepu, podeszła do nich właścicielka i natychmiast zajęła się przybyłymi, a kilkanaście minut później wyszły stamtąd obładowane ciuchami, dostając po znajomości solidny opust.

Michalina nadal nie była przekonana do poczynionych zakupów. Strój był zdecydowanie zbyt skąpy i obcisły. Zawsze nosiła zabudowane kostiumy, które ukrywały wszystkie jej mankamenty, a ten nie dość, że je odkrywał, to na dodatek uwydatniał.

Wycięte figi podkreślały jej szerokie biodra i umięśnione uda, a niewielkie trójkąty materiału ledwie okrywały obfity biust. W ocenie Miśki nie wyglądało to dobrze. Jednak towarzyszące jej kobiety miały zupełnie odmienne zdanie, uważały, że wygląda „mega seksownie”, cokolwiek miało to znaczyć.

– Cześć! – Ktoś zasłonił jej słońce. – Wiedziałem, że cię tutaj znajdę.

– Czarek! – pisnęła radośnie Klara, zanim Miśka zdążyła otworzyć oczy. – Kiedy przyjechałeś? Na ile?

Michalina oparła się na łokciach i spod wprzymkniętych powiek obserwowała rozgrywającą się scenę. Jej nowa znajoma wisała w ramionach przystojnego, postawnego rudzielca o zielonych oczach. Szczyrzył do niej swoje śnieżnobiałe zęby i obejmował żelaznym uściskiem, unosząc do góry jej szczupłe ciało, tak, że patykowate nogi dyndały jak u drewnianej marionetki.

– Z godzinę temu i mam trzy tygodnie urlopu – odstawił ostrożnie Klarę, która nadal nie mogła ustać w miejscu, podskakując jak mała dziewczynka. – Ale wiesz jaka jest matka, akurat trafiłem na obiad i nie wypuściła mnie póki talerz nie był pusty. – Poklepał się z lubością po swoim idealnie umięśnionym brzuchu. – Powiedziała, że poszłaś nad Sajnę, więc mogłaś być tylko w jednym miejscu. – Z czułością rozwichrzył jej włosy.

– Zawsze się tu ukrywaliśmy – Klara skierowała się w stronę Miśki. – To mój starszy brat Cezary, jest inżynierem na platformie wiertniczej – podkreśliła z dumą – a to Michalina. – Dokończyła prezentacji. – Nie uwierzysz, ale jest na praktykach w muzeum.

– W jakim muzeum? – zaskoczony chłopak przyglądał się jej z niedowierzaniem.

– No w naszym, w zamku – tłumaczyła cierpliwie Klara.

– Poważnie?! – Nadal patrzył z niedowierzaniem. – Przecież to tylko mały oddział z jeszcze mniejszą galerią.

– Poważnie, poważnie – roześmiała się dziewczyna – nawet Dąbkowska była zaskoczona jej przyjazdem.

– W takim razie witaj piękna praktykantko! – Czarek skłonił się kurtuazyjnie i wyciągnął rękę w stronę Michaliny, która kuląc się na kocu, próbowała równocześnie zasłonić ramionami zbyt odkryte piersi i obciągnąć skąpe figi.

– Cześć – z ociąganiem podała mu dłoń. – To ja już chyba pójdę – sięgnęła po koszulkę.

– No co ty! – Klara wyrwała jej bluzkę z ręki. – Nigdzie nie idziesz, dopiero przyszliśmy – stwierdziła. – A ty skocz po jakieś wino. Musimy oblać takie spotkanie – pogoniła brata.

VI.

Die 6 Julii, Anno Domini 1811

Wojtek stał przed chatupą, rozglądając się z trwogą. Często tu niegdyś zaglądał. Lubił roześmianą Basię, która zawsze dawała mu obliżać łyżkę z miodu, a onegdaj z Grażką gęsi na miedzy pasali. Był już dużym chłopcem, latoś szło mu na dziesiątą wiosnę i niczego się nie lękał, ale stojąc przed drzwiami ciągle pamiętał, co prawily sąsiadki.

Paruchowa gadali, co to stośnica. Jak stanęła naprzeciw księdza dobrodzieja, i świce zdmuchnęła, to wzion i zachorzał. Z wyrka nie wstaje, kulasy mu scerniały, palce wykręciło i ledwie bidok zipie. A Gatkowa jesce gadoli, co mliko jej krowom zabrała. Przyjszła wszowały na Krasuli lecyć. Niby wywar z kory smorodiny przyniesła, bydlątko polewała, kadzila, a zara potym Krasula mliko straciła. Potym Gatkowa korzeń przestępu znaleźli, pod progiem łobory zakopany, a na nim ziaba siedziała. Jegdy ją kijem trzepnęła to następnego dnia Baśka nogę za sobą ciągała. Musi łona w tej zia-bie się kryła i mliko carowała. – Rozmyślał strwożony chłopak, nie wiedząc co dalej począć powinien. – Matula zachorzała i już trzeci dzień, jak nie wstaje. Gorąc z niej bije, poty idą, a palec u nogi spuchł jak bania i cuchnie. Nie było innej rady jak babkę sprowadzić, ale stara Sdunkowa tyż chora, a Mazurowa ruszyć się z chatupy nie chcieli, bo krowa ma się jej wycielić. Przeto matula po Baśkę postali, może do nich złości nie ma, i ich nie ukrzywdzi... – mędrkował, kiedy drzwi się rozwarły i stanęła w nich Grażka.

Splotzona dziewczyna cofnęła się do chatupy, ale widząc swojego niedawnego kompana, uśmiechnęła się radośnie.

– Do nas przyszedłeś? To zachodź! – Nie czekając na odpowiedź przesunęła się, robiąc mu miejsce w sieni.

Od jakiegoś czasu ludzie omijali ich zagrodę, więc widok towarzysza zabaw od razu poprawił jej humor.

– Do Baški – odburknął niegrzecznie, ścierając uśmiech z twarzy Grażyny.

Dziewczyna w milczeniu przepuściła gościa i wyszła na podwórze, zamykając drzwi. Nie chciała, żeby zobaczył, że ły jej w oczach stanęły. Zawsze lubiła Wojtkę i nie spodziewała się, że potraktuje ją tak obcesowo.

Chłopiec wszedł do dusznej, rozgrzanej izby. Od połowy czerwca nie spadła kropla deszczu, słońce paliło niemiłosiernie, a gorąc nawet w nocy nie słabł. Nic nie dawało roztwieranie okien na oścież, nie było czym dychać, a wszędzie stało nagrzane, stęchłe powietrze.

Stara Sdunkowa, okryta cienkim pledem, wpołtęzała oparta o dużą poduszkę. Prawą rękę ciągle spowijał obwód z białego płótna, ale wyglądała już dużo lepiej. Twarz miała lekko zarumienioną, koszulę czystą, a siwe włosy splecione w cienki warkocz. W rękach trzymała drewniany różaniec i mruczając pacierz pod nosem, co chwilę spoglądała na obraz Najświętszej Pani, zawieszony naprzeciw łóżka.

Wnętrze chaty wyglądało tak, jak dziesiątki innych w gromadzie: pobielone ściany, na których dziewczęta pracowicie wymalowały kwietny wzór, dwa drewniane łóżka, matki i drugie wspólne dla siostr, drewniana ława z zydlami, pod oknem skrzynia na odzież, nakryta kilimkiem, spory piec i zamknięte na skobel wejście

do komory z zapasami. Jedyne co odróżniało ją od innych, to wszechobecny zapach ziół, które suszyły się praktycznie wszędzie: przy oknach, na sznurkach rozpiętych nad piecem, wystawały z wianków zawieszonych pod powatą i pęczków zatkniętych za święte obrazy. Nawet na stole, w glinianym garnczku, stały świeżo zebrane kwiaty dziewanny, rumianku i żmijowca. Ale nade wszystko pachniała lipa, rozsypana w kącie na dużej płachcie.

– Pochwalony. – Wymamrotał chłopak, który nagle stracił cały rezon.

– Na wieki wieków – odpowiedziała Sdunkowa, przerywając modlitwę i spoglądając na przybysza. – Wojtuś – ucieszyła się podobnie jak jej młodsza córka – a cóżes ty chciał?

– Matula zachorzeleli – powtarzał ułożoną po drodze przemowę – będzie jak trzeci dzień z łóżka nie wyłażą. Cosik jej się w palucha u kulasa wbiło, a tera spuchlizna i smród od tego leci. – Tłumaczył szybko, rozglądając się lękliwie na boki. – Macioszkowa gorzałką przemywali i nic, a babka Mazurowa ruszyć się z chatupy nie może – westchnął z rozpaczą. – Może Baśka by pomogła?

Stara w milczeniu uważnie przyglądała się chłopcu, który pod wpływem jej spojrzenia zaczął kręcić się niespokojnie.

– Yhy, yhy. – Odkaslnął i nerwowo przetknął ślinę, jakby mu nagle w gardle zaschło.

– A ty, Wojtek, skądś się tu wzion? – Baśka weszła tak cicho, że nawet nie posłyszał, ale na dźwięk jej głosu podskoczył przestraszony i cofnął się dwa kroki w stronę okna.

– Lękaś się mnie? – roześmiała się dziewczyna, podchodząc tak blisko, że nie miał gdzie odejść.

Patrzyła teraz na niego prześmiewczo i prowokacyjnie, a oczy miała piękne, w niespotykanym i dziwnym kolorze, jakby miód z gryki z trawą zmieszany.

– Mnie tu matula przystali... – po raz kolejny powtarzał swoją opowieść, gapiąc się na nią z niepewnością i przestraszonym.

Kiedy skończył, kobiety spojrzały na siebie, i przez chwilę mierzyły się spojrzeniami. Matka delikatnie pokręciła głową, jakby chciała wybić córce z głowy tę wizytę, ale ta tylko zagryzła wargi i lekko wzruszyła ramionami.

– Czekaj, ino spakuję co potrza.

– Weź smarowidło z nogientka i gęsiego sadła – doradzała zrezygnowana stara.

– Wzienam – syknęła niecierpliwie dziewczyna. Zapakowała do koszyka jeszcze kilka woreczków z ziołami i obróciła się w stronę matki. – Ostańcie z Bogiem, wróć na wiecer. Jakby wam co było potrza, to na Grażkę wołajta.

* * *

(...)